

Zbigniew Kmicic: jaka to była piękna budowa!

Data dodania: 2010-03-26 00:26:41 • Ostatnia aktualizacja: 2010-03-26 00:26:41

Ewa Czerwińska

O dziadku koniarzu, ojcu ułanie, Sruliku z Jastkowa i koncertach skrzypcowych, krakowskim studiowaniu i lubelskim budowaniu ze Zbigniewem Kmicicem rozmawia Ewa Czerwińska



Z ojcem i wujem w Snopkowie, 1945 rok



Był Pan w Wilnie?

Kilkakrotnie. Ja urodziłem się już w Lublinie, ale w Wilnie było gniazdo Kmiciców. Dziadzio Wawrzyniec miał sześciu braci. Skończył szkołę dla trenerów, masztalerzy i "końskich" felczerów w Carskim Siole koło Sankt Petersburga. Kochał konie. Po przyjeździe na Lubelszczyznę osiadł w Snopkowie, w majątku Bobrowskich. Do dziś zresztą, przez pamięć do dziadka, kładę kwiatki na jego grobie.

W Snopkowie zajmował się stadniną angloarabów. W 1917 roku razem z moim ojcem Wacławem wybrali się do Piotrogradu i tam zastała ich rewolucja. Konie Rosjanie zabrali, dziadka puścili, a ojca wsadzili do więzienia. Jakimś cudem wydostał się stamtąd i zaciągnął do I Korpusu Wschodniego, którego dowódcą był generał Józef Dowbór-Muśnicki. Korpus bił się z bolszewikami, ojciec jako wachmistrz w dywizji ułanów. Ostatnim miejscem stacjonowania jego szwadronu był Bobrujsk. Korpus rozwiązano w czerwcu 1918 roku. A wtedy z Francji przysłała wieść, że tamże właśnie generał Haller formuje błękitną armię. Ojciec postanowił pojechać do Francji, chciał się przedostać przez Murmańsk, ale po drodze zatrzymali go Sowieci i osadzili w więzieniu w Moskwie, na Butyrkach. I znów miał szczęście, bo kiedy Rosjanie chcieli wcielić więźniów do Armii Czerwonej, udało mu się uciec. Przedostał się na Wileńszczyznę i w okolicach Prużan wstąpił do oddziału Wojska Polskiego, z którego to powstał XIII Pułk Ułanów Wileńskich. Jako część III Armii generała Rydza-Śmigłego brał udział, wraz z petlurowcami, w walkach o wyzwolenie Kijowa, a potem, już bez petlurowców, pędził bolszewików spod Warszawy.

A jak było z tymi końmi?

Po śmierci dziadzia, zamiłowanego koniarza, stadnina upadła. Poza tym zmienił się właściciel majątku... Z dziadkiem porównywało mnie wielu ludzi - bo trochę byliśmy podobni z urody i charakteru. Urodziłem się w 1933 roku, jako drugi syn. Tata ożenił się ze Stanisławą z Pietrzaków, mieszkanką Snopkowa, która była piękną kobietą. Stworzyli bardzo patriotyczny dom. Ojciec cieszył się wielkim autorytetem wśród sąsiadów. Kiedy na początku lat 40. Niemcy postanowili odizolować Żydów od reszty świata, zjawił się w naszym domu Srulik, szewc z Jastkowa. Padło na ułana, nic dziwnego, że ojciec zdecydował: "Zostań". I przechowywał się u nas ten Srulik do końca wojny. Mieszkał za gdańską szafą, wychodził tylko w nocy. Dołączyła do niego żona z dzieckiem, ale psychicznie nie wytrzymała zamknięcia - wróciła do getta. Kilka razy wpadali do nas Niemcy sprawdzić, czy rodzice oddają kontyngent. Moja mama brała wtedy sprawy w swoje ręce, potrafiła tych Niemców zagadać. Strach był tym większy, że ojciec był członkiem AK. Partyzanci przychodzili do nas w nocy. Pamiętam, jak nieraz stukali w okno: "Wacusz, otwórz". Zostanie mi ten obraz w oczach do końca życia. Za Srulika rodzice dostali po wojnie tytuł Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata.

A co ze Srulikiem?

Przesiedział za szafą całą okupację. Myślę, że sąsiedzi wiedzieli o tym. Pod koniec wojny poprosił moją mamę, żeby została jego matką chrzestną. Przyjął imię Stanisław, a ochrzcił go ksiądz Ludwik Koziejowski, zacny proboszcz z Jastkowa. Po wojnie Srulik ożenił się z katoliczką i zamieszkał w Jaskowie. To nie był jedyny nasz lokator. W roku 1943 przybył do nas Andrzej Sidow-Pałęcki, syn konsula polskiego w Londynie. Łącznik Armii Krajowej. Też się ukrywał. Mojego starszego brata Rysia przygotowywał z matematyki do liceum Staszica. Nawiasem mówiąc, ja to liceum skończyłem, a Rysiek nie. Został budowlańcem. A Pałęcki był jak nasz kuzyn. Bardzo lubiany, wszechstronnie wykształcony, poliglota. Pasjonował się ziołami - zbieraliśmy je dla niego. Kiedy zbliżał się sierpień i front na Wiśle, powiedział nam, że się żegna i odchodzi. Dziś wiemy, że znał datę wybuchu powstania. Został zabity gdzieś po drodze do Warszawy.- Zamieszkiwał u nas również profesor Bryk, muzyk. Pamiętam, jak grał na skrzypcach w największym pokoju. Mama otwierała wtedy okna i cała wieś miała koncert. Ludzie bili brawo.

Jaka była Pana mama?

Kochana kobieta. Ciekawie z ojcem miała, bo wciąż zapewniał jej atrakcje - jak nie Żyd za szafą, to inni uciekinierzy. Ale przetrwała wiele. I to zdarzenie: rodzina Pałęckich na początku wojny przewiozła z Gdyni do Lublina księgarnię nowości, część książek trafiła do naszego domu. No i Niemcy wytropili ten transfer. Przyjechali, żeby zrobić rewizję. Uratował nas jeden Ślązak, oficer Wehrmachtu. Kazał te książki spalić. Ojciec jednak tego nie zrobił. Dali mu spokój, ale na krótko, bo w końcu wylądował Pod Zegarem. Na szczęście wypuścili go.

Fakt, że ojciec bił bolszewika, ciążył jakoś na Pana życiu?

W liceum Staszica - nie. Nauczyciele byli życzliwi. Ale później. Kiedy ja kończyłem liceum, mój starszy brat Rysiek już był budowląncem i kierownikiem budowy. Budował osie-dle ZOR Zachód. Wpadałem do niego, patrzyłem na tych ludzi, oglądałem tablice przodowników pracy, i słuchałem "Budujemy nowy dom, jeszcze jeden nowy dom".

No i wzięło mnie. Jestem z natury romantykiem, rozsadzała mnie energia, więc pomyślałem: też tak chcę. Porozmawiałem z ojcem, gdzie jechać na studia. Chciałem do Warszawy, ale on mówi: "Gdzie tam będziesz do tej komunistycznej Warszawy jechał, jedź do Krakowa!" No i dostałem się na politechnikę. A tam na pierwszym roku zaczęli mnie prosić do działu kadr, gdzie człowiek od informacji kazał mi pisać życiorys. Nie wiedziałem, dlaczego. Dopiero ojciec wprowadził mnie w temat, opowiedział o dziadku i swoich wojennych losach. "No, synu, ja ci już nic nie poradzę".

Dali Panu spokój?

Dali, po pół roku. Potem temat definitywnie się skończył. Na uczelni wykładali dawni profesorowie Politechniki Lwowskiej, m.in. wielki budowniczy konstrukcji żelbetowych Stella-Sawicki, Plamicer, współpracownik ministra Bartla... To była najwyższa klasa. Elita. Bardzo ciekawie się nosili: muszka, pumpy, laseczka. Kiedyś na egzaminie jeden z nich mówi do mojego kolegi: "Pan tak jakoś mizernie wygląda" Odpowiedzi nie usłyszał. Wtedy wyciągnął pugilares, a z niego dwadzieścia złotych i daje chłopakowi: "Masz, kup sobie masełko". Profesorowie ostro nas rozliczali, ale byli ludzcy.

Jak się wtedy, w latach 50., studenci relaksowali? Na zbieraniu stonki czy innym czynie?

No, nie... Łączył nas dom studencki. Pamiętam, jak jechaliśmy do Krakowa na rozpoczęcie roku pociągiem - ja wsiadałem w Lublinie, kolega w Kraśniku, kilku innych w Rozwadowie, Meldowaliśmy się wszyscy razem w akademiku. Byliśmy przyjaciółmi. W wolnym czasie chodziliśmy do Teatru Starego i Słowackiego. Jeszcze Ludwika Solskiego i Mieczysławę Ćwiklińską pamiętam. Kibicowaliśmy też mojej ukochanej Wiśle Kraków. Nie przelewało się nam. Mnie też, nawet wtedy, gdy dostawałem stypendium naukowe. Czasem od wielkiego dzwonu, po egzaminach składaliśmy się na buteleczkę anyżówki. Jej walorem była niska cena, poza tym słodycz straszna - koc, który udawał obrus, sztywniał, kiedy się na niego trochę tej anyżówki wylało. Na co dzień często jadaliliśmy ogólnie dostępne dorsze. Tanie i zdrowe. Na zabawach bawiliśmy się z medyczkami. Tańczyło się tanga, walce... Rock'n'roll jeszcze nie dotarł. Pamiętam, że modne były koszule w kratę. Kupiłem sobie taką i poszedłem w niej na egzamin do jednego z tych profesorów dżentelmenów. Z powodu tej kratki wyprosił mnie. Ale w końcu egzamin zdałem bardzo dobrze.

Gdzie Pan debiutował jako budowlaniec?

Jako inżynier na ZOR Wschód - to dzisiejsze Bronowice, te z cegły. I tam wybudowaliśmy pierwszy we wschodniej Polsce budynek typu uprzemysłowionego. Polegało to na tym, że ściany były tradycyjnie montowane, a dach, stropy, klatki schodowe - z płyt. Na placu budowy stała tzw. stenda i duży dźwig. Na miejscu robiło się płyty, które od razu szły na budowę. I na tym polegała ta najnowsza technologia. Masę wizyt miałem. Przyjeżdżali budowląnci, konstruktorzy, naukowcy, żeby popatrzeć. Atmosfera była radosna. Tworzyliśmy coś ważnego dla ludzi - mieszkania. W porównaniu z dzisiejszą technologią wiele się od tamtej pory zmieniło.

Co najbardziej?

Stosunki między ludźmi były lepsze. Obowiązywała etyka. Był taki brygadzysta Bijas ze Świdnika, miał dwunastu ludzi pod sobą. Nikt nie powiedział inaczej do niego jak mistrzu. Cieszył się autorytetem. Mistrz to był ktoś. Kiedyś poprosiłem zdaje się że Dankowskiego, żeby jego ludzie zostali po fajrancie. Pamiętam, że kiedy jeden z nich się opierał, pozostali tak go objechali, nawet do łopat się rwali, że w końcu się zgodził.

Potem budowałem RDM, tę część od strony dawnej restauracji Fafik, a potem Lemszczyznę... I tak zdobywałem doświadczenie zawodowe, także i to w byciu z ludźmi.

Podobno szła fama, że u Pana najlepiej się pracuje. To prawda?

No, tak... Jak przychodził ktoś świeży, to od razu chciał do mojego zespołu. Szefowie przedsiębiorstwa nawet się trochę burzyli, że im firmę rozbijam. A ja po prostu byłem entuzjastą. Lubiłem pracę i ludzi. A dziś, jak sobie pomyślę o tamtych latach, to wydaje mi się, że to wszystko był sen i zaraz się obudzę. Zawsze to praca mnie szukała. W latach 60. pracowałem w przedsiębiorstwie budowlanym w Kraśniku. Podejmowano wtedy zobowiązania na tysiąclecie państwa polskiego. Wybudowaliśmy wówczas około dziesięciu szkół tysiąclatek. Do dziś jestem z tego dumny. Byłem też - krótko - naczelnym architektem województwa lubelskiego. Poprosił mnie o to ówczesny wojewoda Wójcik. Zgodziłem się, choć nie tęskniłem do pracy biurowej. O dziwo, znalazłem tam wiele obszarów do roboty. Pojechałem do Paryża, gdzie zobaczyłem, że miasto można rozwijać od wewnątrz i od zewnątrz. Stamtąd przywoziłem pomysł rozbudowy miasta radialnego, czyli rozwijającego się na obrzeżach. Popatrzyłem: Czechów, taka dzielnica - dziura... Trzeba coś z nim zrobić. I rzuciłem pomysł na komisji urbanistyki. Wtedy podjęliśmy decyzję o budowie wielkiej dzielnicy mieszkaniowej. Wiele załatwiliśmy razem z SARP.

Pamiętam te romantyczne początki osiedla. Wieczne błoto przy Kosmowskiej.

Oj, tak! Pani dyrektor tamtejszej podstawówki błagała: "Chroń mnie pan, bo mnie zajeżdżą..." Bo jedną ulicą wjeżdżały na plac budowy ciężarówki i inny sprzęt. Jak się zima zbliżała, to w nocy szedłem po linii trasy centralnego ogrzewania, żeby zobaczyć dokąd dochodzi ciepło. A buty miałem zawsze tak zabłocone, że nie wchodziłem w nich do domu. Za to, proszę pani, LPBM oddawał tysiąc mieszkań rocznie! No i tak się tu w Lublinie rozmachaliśmy, że doszło do Warszawy. Minister Karkoszka wzywa mnie i mówi: "Słuchaj, tyś tyle naplanował, a nie ma kto tego budować". No i zostałem zastępcą dyrektora zjednoczenia.

I co Pan zbudował?

Po Czechowie budowaliśmy Czuby. O, to też była romantyczna budowa. Pamiętam, jak po skarpie się ślizgaliśmy. Potem osiedle Nałkowskich, obiekty politechniki, Akademii Rolniczej, salę kongresową... Także inwestycje w Puławach, Chełmie, Białej Podlaskiej... Nasz lubelski potencjał był na czwartym miejscu w kraju. Teraz prezesuję Lubelskiemu Związkowi Pracodawców, który przed laty zainicjował konkurs Lubelski Orzeł Biznesu. Sprawy przedsiębiorczości wciąż leżą mi na sercu.

Żona nie mówi, żeby Pan w końcu odpoczął?

I moja żona Basia, i córka Basia wiedzą, że ja nie potrafię siedzieć w miejscu. Ani jednego dnia nie byłem na emeryturze. Szkoda czasu.

Będzie wystawa

Wasze fotograficzne skarby - rodzinne pamiątki znajdą się na wystawie "Sagi Lubelszczyzny - portret rodzinny", którą organizujemy wraz z Galerią Prospero i Radiem Lublin. Wy też podzielcie się z nami swoją rodzinną sagą. Na zdjęcia czeka w Galerii Prospero Bartłomiej Bułtowicz, Krakowskie Przedmieście 52.